OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 25 Stycznia / 6 Lutego 1867 roku.

Nr 6. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

WELCHRAD.

W dzisiejszem margrabstwie Morawskiem, stanowiącem niegdyś prowincję wchodzącą w skład dawnego królestwa Czeskiego, istnieje dotąd niedaleko miasta powiatowego Hradiszcza i opodal rzeki Morawy, byłe opactwo Cysterskie, złożone w miejscowości, na któréj przed dziewięcioma wiekami wznosiła się stolica królów Wielko-Morawskich, zwana po czesku Welchrad czyli po polsku Wielogród. Miejscowość ta, jakkolwiek nie słynie żadnemi cudami i nie posiada cudownego obrazu, zwiedzaną jednak bywa rok rocznie przez tysiące podróżników, pragnących uczcić wielki fakt dziejowy,



Uroczystość tysiącoletniego istnienia Sławian, która miała miejsce w 1863 roku na Welchradzie.

mający dzisiaj dla Czechów głębokie znaczenie narodowe i religijne. Tu bowiem jako w stolicy państwa, żyli za czasów pogańskich pierwsi apostołowie czescy: Cyryl i Metody, rodzeni bracia, którzy słowo Ewangielji Chrystusowéj, ogłaszali miejscowemu narodowi, w jego ojczystym zrozumiałym dlań języku i z miłością w sercu, a nie jak od zachodu przychodzący, z mieczem i cudzoziemską mową.

Cyryl i Metody pochodzili z miasta Solunia czyli Tesaloniki, leżącego w dzisiejszéj Turcji Europejskiéj. Obadwaj, między uczonymi Konstantynopolitańskimi, słynęli z wielkiéj nauki; Cyryl zaś obok tego ze znajomości wielu języków, co było powodem, że wysłany został jako apostoł do Chazarów, żyjących wtedy nad morzem Czarnem. Takież posłannictwo w tymże czasie spełniał Metody na dworze Borysa, króla Bołgarskiego. Nieco wcześniéj ułożyli oni dla Sławian abecadło i zaczęli przekładać Pismo Święte i inne księgi na język, jakim w owym czasie mówili Sławianie Macedońscy. Wieść o tém wszystkiém doszła nareszcie do Rościsława króla Mórawskiego, który wnet postanowił sobie zaprowadzić oświatę i w swoim kraju. Udał się tedy z prośbą do cesarza Greckiego, aby przysłał mu tych uczonych mężów. Tym sposobem dostawszy się ci apostołowie do Mórawji w r. 863, dokończyli tu swego przekładu Pisma Świętego i za pomocą jego, wkrótce prawie cała zachodnia Sławiańszczyzna przyjęła Ewangelję Chrystusową. Nie podobało się to jednak sąsiednim biskupom niemieckim, mianowicie Salcburskiemu, dążącym do zniemczenia wszystkich Sławian. Oskarżyli tedy Cyryla i Metodego przed Papieżem o kacerstwo i użyli wszelkich środków w Rzymie, aby nie dopuścili utworzenia się oddzielnego kościoła narodowego. Nie udało im się jednak i Papież Klemens dozwolił używać w kościele języka sławiańskiego, a nawet dozwolił utworzyć osobną dyecezyję, któréj biskupem miał być Cyryl. Ten jednak zachorował i umarł w Rzymie; biskupstwo więc otrzymał Metody. W tym czasie panował w Mórawji Świętopełek, który nie mogąc oprzeć się politycznym intrygom cesarza niemieckiego, uległ jego przemocy i zmuszony był wydać Niemcom biskupa Metodego. W półtrzecia jednak roku w skutek zmian politycznych i wstawienia się Papieża uwolniony z więzienia, wrócił Metody do Welchradu. W roku jednak 879 na nowo został Metody oskarżony o kacerstwo, jakoby ogłaszane w „barbarzyńskim" języku, jak się wyrażali biskupi niemieccy, udał się do Rzymu, gdzie przekowawszy Papieża, że te skargi mają na celu nie dobro kościoła lecz interes polityczny, uzyskał potwierdzenie używania języka sławiańskiego. Nagabywanie atoli biskupów niemieckich nie miało końca aż do jego śmierci, która nastąpiła w 885 r. Następcą Metodego był jego uczeń imieniem Gorard, za którego czasów Niemcy porozumiawszy się z przybyłemi do Panonji, z nad Uralu Madiarami, zniszczyli nie tylko kościół narodowy sławiański, ale i państwo Wielko-Mórawskie, a z tém związek oświaty, który rozwijając się swobodnie na łonie chrześcijanizmu i przyrodzonego języka miałby ten skutek, że plemiona sławiańskie dziś rodzielone, stanęłyby na równym stopniu cywilizacji i potęgi z innymi narodami Zachodniéj Europy.

Obecnie Welchrad jest małą osadą położoną w pięknéj dolinie, z trzech stron zamkniętéj górami. O godzinę drogi pod miastem Hradiszczem, jest stacją drogi żelaznéj, idącéj z Wiednia do Ołomuńca. Sławny ten niegdyś stoliczny gród królestwa Mórawskiego, zburzony został przez Madiarów w r. 907. Czworobok około 40 sążni długi i szeroki, otoczony do koła głębokim rowem i wałem, a przez lud miejscowy zwany Hradkiem, przedstawia miejscowość gdzie przed wieki stał gród Świętopełka, króla Wielko-Mórawskiego. Liczne szczątki pozostałe z owego czasu, jak np. tak zwany tron królewski, a mianowicie wielkie i obszerne sklepienia podziemne i mury fundamentowe, ciągnące się aż do samego miasta Hradiszcza, świadczą jak daleko rozpościerało się to miasto, owa kolébka chrześcijanizmu na Mórawach i w Czechach, gdzie król Świętopełek w r. 863 otrzymał chrzest z rąk Cyryla i Metodego. Dotychczas jeszcze pokazują tutaj tak nazywaną kaplicę Cyrylską, stojącą jakoby na tem samem miejscu, w którym Cyryl wystawił pierwszy kościół i w niém pierwszy głosił słowo Boże. W Welchradzie także ochrzczony został przez Metodego Bożywój książe Czeski, mąż Ś. Ludmiły, gdy odwiedził Świętopełka.

Welchrad, jako urocze ustronie i pomnik historyczny zamarłéj przeszłości, licznie, jak jest powiedzieliśmy, zwiedzany przez Czechów w każdym czasie, ale najwięcéj gromadzi się tu Pątników w pierwszéj połowie miesiąca Lipca, którego dzień piąty poświęcony został pamiątce i czci świętych mężów, którzy opuścili własną ojczyznę i ofiarowali swe życie dla dobra pobratymczego sobie narodu, aby za pomocą oświaty opartéj na Ewangelji Chrystusowéj, wyzwolić go z duchownéj i politycznéj niewoli. Gromadzą się tu w owym czasie nie tylko miejscowi mieszkańcy z Mórawji i królestwa Czeskiego, ale i ze Szlązka, oraz Słowacy z Węgier. Żadnego jednak roku Welchrad nie był tak licznie nawiedzony jak w r. 1863, w którym obchodzono tutaj tysiącletni jubileusz, przybycie rzeczonych apostołów do krajów Czesko-Mórawskich w r. 863, a to z wielkiem zgorszeniem dla Niemców, chlubiących się dotąd tém, jakoby Sławianie Zachodni z ich ręki dopiero otrzymali naukę Chrystusową a z nią i cywilizację, którą dzisiaj niewdzięcznie odpychają, nie chcącą przyjmować w germańskiéj tunice już gotową, ale wolą szukać jéj tam gdzieś w zamierzchłéj przeszłości..... Uroczystość ta jubileuszowa, trwała rok cały. Załączająca się na poprzedniéj stronie rycina, przedstawia jedną jéj chwilę w porze letniéj.

Ad. N. Nakęski.

LOT ORŁA.

Czemu orle czarno-pióry
Tak wysoko wzbijasz lot,
Tam pod Nieba czcze lazury
I ku gwiazdom czynisz zwrot?
Ni cię oko dojrzeć zdoła,
Wpośród górnych Nieba stref,
I na ziemię cię nie zwoła
Rojów ptastwa słodki śpiew.
Czyż nie zstąpisz tu na ziemię
Dumny królu, tak wspaniały,
Ujrzeć Bożych stworzeń plemię,
Spotkać z niemi wzrok swój śmiały.

Porzuć dumę, zstąp na świat,
Świat ci przyzna królowanie,
A potęgi twojéj kwiat
Zjedna tobie panowanie.
Bujasz sobie wśród przestworza
Blizko Nieba, gdzie anieli
Płyną wśród miłości morza,
Wiecznie jaśni, wiecznie bieli.
Tam bo piękniéj, lepiéj, jaśniéj,
Niż na ziemskim tu obszarze,
Gdzie się żyje i wnet gaśnie,
Ginąc marnie w świata gwarze.
Tam to sytość — bez pragnienia,
Miłość wieczna—bez tęsknoty,
Światło świeci wciąż—bez cienia,
Rozkosz czysta—bez zgryzoty!
Jednak próżne twe zapędy
Dumny orle! praca za nie;
Bo tam daléj przestrzeń wszędy
Jest bez końca i bez granic.
Ni dosięgniesz Nieba szczytu,
Ni rozkoszy zaznasz świata,
I u samych bram błękitu
Zwichniesz skrzydła......
. . . . Wciąż ulata
Coraz daléj, daléj, daléj,
Patrzcie, już go wzrok nie sięga!
Wtém jak piorun czarna wstęga
Z Nieba spada—legł na skale!

Władysław Olszowski.

DWÓCH MŁODZIEŃCÓW,

powiastka z małego miasteczka.

(*Dokończenie.*—Patrz Nr. 5).

Dnia następnego po widzeniu się Wierzbowskiego z Zosią w ogrodzie księdza proboszcza, dziw wielki zrobił się w miasteczku, bo młody hrabia z Żuliniec zajechał eleganckim karyklem przed dom Wierzbowskiego, zesiadł i u młodego majstra blisko godzinę zabawił. Potem wyszli obadwaj—a Wierzbowski był ładnie przybrany. Hrabia wziął lejce z rąk woźnicy, który usiadł z tyłu, a Wierzbowski obok panicza, i rącze konie w hyżym biegu puściły się po bruku. Potem znowu było już po dziesiątéj, gdy pana Kajetana ten sam odwiózł karykiel.

Pani Jabłonowiczowa aż w głowę zachodziła, coby to znaczyło—i dopóty nie poszła na spoczynek, dopóki karykiel znowu przed jéj nie zaturkotał oknami.

Zosia, oczywiście że także nie spała. A filutka dobrze wiedziała, po co Kajetanek do Żuliniec jeździł — lecz zachowała tajemnicę.

Nazajutrz zaś rozeszła się po mieście niebawem wiadomość, że Wierzbowski najął domek przy gruntach szpitalnych, by w nim drugi warsztat założyć; że sprowadza kilku czeladników z Warszawy i na wielką skalę swoje zaprowadza rzemiosło. Bo młody hrabia objąwszy Żulince, postanowił odnowienie pałacu, do którego Wierzbowski zobowiązał się dostarczyć: drzwi i odrzwi, futryny do okien i ramy, a wszystko z jesionu, schody, galerje, posadzki, i t. d. i t. d. a nadto jeszcze i parę garniturów mebli. Wierzbowski był jego kolegą szkólnym, panicz lubił go zawsze, bo pilny współuczeń nieraz lekcję za niego odrobił i to w tajemnicy wielkiéj. To też gdy dziś został dziedzicem obszernych włości, przypomniał sobie poczciwego Kajetanka, posłyszał że jest stolarzem znającym dokładnie rzemiosło swoje, i oddał mu całą, rozległą, a zyskowną pracę pałacową. Zaledwie przeto tydzień upłynął, a domek przy roli szpitalnéj już całkiem przeistoczył się w warsztat, przychodziły transporty jesionu, palisandru, machoniu, drzewa orzechowego, hebanu — a dziarscy czeladnicy sprowadzeni z Warszawy, z uczniami pracowali ochoczo pod przewództwem pilnego majstra i wesołe ich śpiewki wiały aż w ulicę *Zieloną.*

II.

Dnia jednego z rana, rychło jeszcze, pani Jabłonowiczowa otworzyła okno i trzymając różaniec w ręku, paciorki swoje szeptała. Od warsztatu Wierzbowskiego także pieśń pobożna kilką głosami, zgodnodźwięcznie płynęła. W tém nagle zaturkotało na bruku i elegancka bryczułka przeleciała jak strzała. Pan Pękosza gdzieś jechał, a tak był zaperzony, że na dom popielaty nawet i nie spojrzał.

Matkę Zosi to zdziwiło niezmiernie, po chwili wszelako już sobie powiedziała:—„Nie przypuszczał, że tak wcześnie będę przy oknie i znać pilno mu było do którego z przyjaciół swoich pojechać. Może do pana barona.”

Przed kilku dniami oświadczył się Pękosza o rękę Zofii. Pani Jabłonowiczowa z radością to oświadczenie przyjęła— lecz dziewczę stroskane, aż oknem do ogrodu wyskoczyło unikając nieznośnego konkurenta i do Krystyny pobiegło. Od dnia tego kawaler przychodził codziennie i ciągle o ślub rychły prosił. Był znowu i wczorajszego wieczora, a Zofia cichaczem wysunęła się z domu i nie powróciła dopóki nie odszedł. Miałać też potem od matki wielką burzę do przetrwania; łajała i wymyślała, co jéj tylko przyszło na język; uderzała w pięści, mówiąc iż na swojem postawi, że Zosia musi zostać żoną p. Pękoszy — a przytem były także i przycinki, o *hołyszach, heblach, wiórach stolarskich* i t. p.

Zaledwo turkot bryczułki był przebrzmiał, gdy weszła Zofia bledziuchna i smutna.

— Pan Pękosza pojechał właśnie do przyjaciela swojego pana barona, zaczęła matka z przekąsem, przybędzie tu z nim zapewne, więc proszę, ażebyś panna była przyzwoicie ubrana i znowu z domu nie uchodziła. Rozkazuję surowo! — dodała z przycinkiem. Okazałaś aspanna złą bardzo *edukacją*, więc nakazuję poprawić się.

Zofia miała łzy w oczach, ale do zwykłych, codziennych zabrała się zatrudnień. Matka popatrzyła na nią gniewnie, a gdy córka wyszła, poczęła znowu swoje zmawiać *zdrowaśki.*

Na ulicy niewiele krzątało się ludzi. Od warsztatu Wierzbowskiego bez przerwy wiały różne pieśni, jakby na przekór właścicielce popielatej kamienicy. Jeden z uczniów, wesoły Franek, Poznańczyk, gwiżdżąc sobie ochoczo i klapiąc chodakami po kamieniach, koło jéj okien przeleciał tam i napowrót — niosąc z poczty jakąś sporą paczkę opieczętowaną w ceratę. I to ją korciło.

Wybiła godzina siódma, zadzwoniono po raz pierwszy na mszę S-tą, gdy pani Drzymkiewiczowa ukazała się przed oknem otwartém w kapeluszu, szalu i z książką do nabożeństwa w ręku.

— Dzień dobry jejmości! wymówiła, witając panią Jabłonowiczową.

— Dzień dobry, dzień dobry pani sąsiadce, odrzekła tamta. Jejmościulka do kościoła dąży?

— A przecież dziś zakupiłam mszę Ś-tą.

— Szkoda, żem nie wiedziała. Teraz już nie rychło... Wczoraj tak późno spać poszłam, pan Pękosza siedział długo....

— A dziś zbudzono go rychło, biedaka — pani Drzymkiewiczowa nie bez skrytego zadowowolenia, te wymówiła wyrazy.

— Hm! Bo już do pana barona pojechał i...

— Pojechał? A goście w domu rozgospodarowali się sami!

— Jacy goście? Pewnie Bródkowscy, albo panowie Wąsalscy....

— Ej, gdzież tam! To pani nic nie wié?

— A cóż mam wiedzieć?

— Jezusie Nazarański! Jéjmościulka nic nie wié?

— Ej, bo i cóż?—pani Jabłonowiczowa poczerwieniała jak burak.

— Ot, że sąd zjechał. Wierzycieli co niemiara! Długi pochłonęły fortunę całą! Subhasta! Elegant pójdzie z torbami!

— Co.... co też to.... jejmość gada! — dławiła się Jabłonowiczowa i pożółkła jak cytryna.

— A przecież prawda! Sąd zjechał. Zatradowali wszystko! A panicz poleciał do Wąsalskich by go ratowali, ale oni mu figę pokażą, figę pieczoną! Bawili się z nim, grali, pili, hulali, a gdy mu wypróżnili kieszenie, to i *kwita z byka za indyka!*..... Ależ, ot dzwonią już po raz drugi, Panu Bogu oddaję! — i kołysząc się z zadowoleniem, że bogatéj a pysznéj jejmości cios zadała dotkliwy, kochana sąsiadeczka pobożnie ku świątyni pańskiéj zmierzała.

Pani Jabłonowiczowa zsiniała, zdrętwiała — że i paciorki z rąk jéj upadły i niby w osłupieniu patrzała się na ulicę.—„Co tu począć? Jak się dowiedzieć o wszystkiem dokładnie? Posłaćby kogo!..... Lecz kogo?“ krążyło po jéj głowie skłopotanéj.

W tej chwili zaturkotało lekko—i ujrzała śliczne myszkowate koniki i elegancki karykiel. Młody hrabia z Żuliniec znowu sam powoził. Widok ten więcéj jeszcze dolał jéj żółci, bo myszki skręciły w ulicę, gdzie mieszkał Wierzbowski.

Niezadługo nadszedł środkiem *Zielonéj* Szmul Josek, zacny kupiec prowadzący interesa z całem okolicznem obywatelstwem. Jabłonowiczowa się porwała, wyjrzała z okna i zawołała:

— Dzień dobry, panie Josek!

— Dzień dobry jejmości—odrzekł tamten.

— Proszę na momencik, mój panie!

— Co jejmość sobie życzy?—i Szmul Josek stanął przy oknie.

— A cóż to tam zaszło u pana Pękoszy?—zapytała bez tchu niemal.

— Ha! źle bardzo zaszło: sąd zajmie wszystko. Biedakowi nic nie zostanie.

— Czy być może!.... Jezus Marja! Taki majątek!..... I nikt o tem nic nie wiedział, że on tak zabrnął?

— Jam to wiedział oddawna.

— I pan nic nie mówiłeś?! — Jabłonowiczowa załamała ręce.

— A pocom miał mówić? To nie moja rzecz. Co mi tam o cudzych interesach gadać? I nikt też nie pytał mnie o to.

— To jest straszna historja, mój panie Josek!... Taka piękna fortuna!

— Zapewne, moja jejmość. Ale jak sobie kto pościele, tak się i wyśpi... Myślałem, że on poratuje się jeszcze, że się bogato ożeni, boć on za tém biegał. Tylko że teraz wszystko zrobiło się tak nagle, szukał 1,500 rs. ażeby gdzie pożyczyć i temi jeszcze na czas pewien katastrofę powstrzymać, ale pieniędzy nie dostał nigdzie. Pojechał, teraz do panów Wąsalskich i do pana barona za pożyczką, bo jak mi powiedział, że: wczoraj 1,500, a dziś 1,800 utrzymałyby go jeszcze miesięcy parę. Tymczasem mógłby się posażnie ożenić i majątkiem żony pospłacać długi. Za dni kilka to już i 1,800 nie wystarczą. Upadam do nóg jejmości.

— Panie Josek, jeszcze chwilę! — prosiła pani Jabłonowiczowa. Więc pan jesteś przekonany, wiesz na pewne, że Pękosza cały stracił majątek?

— Juźciż to rzecz jest pewna.

— A gdyby dostał te 1,500?

— Tysiąc pięćset dziś nic nie powstrzymają, potrzeba 1,800.

— Może je dostanie....

— Od kogo? — Josek ramionami ruszył. Nikt pieniędzy swoich w błoto rzucić nie zechce. Była to piękna fortuna i wielka szkoda, że ją puścił tak marnie. Wybacz pani, ale muszę iść do pana Wierzbowskiego, jest tam pan hrabia z Żuliniec, a mamy z sobą interes.

— Pewnie przyjechał robotę stolarską zobaczyć? pani Jabłonowiczowa poczerwieniała.

— A piękna to robota i jest co widzieć, galerje i posadzki jakby w królewskim pałacu. Pan Wierzbowski piękny pieniądz zarabia, a hrabia dobrze zapłacić może, bogaty to pan. Bardzo też kontent z wszystkiego i lubi pana Wierzbowskiego jako dawnego kolegę. Do widzenia się z panią! — skłonił się Josek i odszedł.

Pani Jabłonowiczowa była sino-żółta z gniewu i ze zmartwienia. Nie odchodziła wcale od okna, ciągle jeszcze wyglądając kogoś i czegoś i bezwiednie paciorki przesuwała w palcach.

Po dość długiéj chwili, kołysząca się poważnie pani Drzymkiewiczowa, znowu stanęła przed nią.

— Dopiero to z kościoła? — zdziwiła się właścicielka kamienicy popielatej,

— Ej!—odrzekła tamta—bom wstąpiła do Wierzbowskich, i zostałam zaproszoną na *fetę*. Jest tam pan hrabia, po mszy Ś. zaprosili ks. proboszcza i przyszedł także kupiec Josek. Pan hrabia kazał przynieść sute śniadanie od Makarego: szynkę, salcesony, sardynki, kawioru, séra, masła, bułek, ciast, wina, likierów i porteru! Częstuje i całą czeladź. Bo co téż to za prześliczna robota!.... O Jezusieńku! Te galerje to jakby haft angielski. A widziałam stolik wykładany różnem drzewem i perłową macicą, to aż podziw bierze, a robota to samego pana Kajetana. A jakież to posadzki! Istne kobierce. Co też to ta matka jego za szczęśliwa kobieta! Składa ona téż ręce i panu Bogu dziękuje, a na zakupionéj przedwczoraj mszy Ś-téj, to poczciwska aż krzyżem leżała. Pan hrabia, co ją także bardzo szanuje i zawsze się do niéj odzywa, zawsze zagaduje tak grzecznie. Tak ją prosił, żeby kieliszek słodkiego wypiła wina. A przecież i mnie poczęstował winem i śniadaniem. Zjadłam ciastko, że jeno się rozpłynęło na języku. Tak, tak, moja kochana jejmościulku, pan Kajetan wyjdzie na człowieka! No, ależ mi potrzeba do domu wracać, boć to już kawał na dzień. Panu Bogu oddaję.

Pani Jabłonowiczowa w milczeniu kiwnęła gło-

wą—w milczeniu, bo jéj niby tchu w piersi zabrakło: była odurzona i zgryziona na wskroś.

Około południa powrócił Pękosza — oczywiście, że z próżnemi rękoma. Całe miasto już o jego wiedziało klęsce, a co gorsza, że go nikt nie żałował: był pyszny, wynosił się nad drugich, zawadzał o nie jednego poczciwca, odstręczał swoich a darł się do możnych, hulał i trwonił ojcowską pracę lekkomyślnie—to i wszyscy o tém teraz głośno gadali i potępiali go. Póki trzymała się jeszcze fortuna, to i milczeli, gdy runęła, to i tysiączne o nim opowiadali rzeczy — tak to bywa zawsze. Póki się komu wiedzie, to i smalą holewki, zwłaszcza gdy częstuje; skoro mu wszelako pośliźnie się noga, to i *bywaj zdrów!*—Takie to już są ułomności ludzkie.

Zgłosili się wszyscy wierzyciele biednego Pękoszy, sąd zajął wszystko—a on zgarnąwszy co mógł, drapnął sobie gdzieś, że i słychu o nim nie było. Przez parę tygodni ciągle tylko o nim w miasteczku gadano, a potem i zapomnieli—bo Wierzbowski zajmował wszystkich. Praca jego szła gdyby z płatka wywinął i coraz więcéj potrzebował ludzi. Miał już i nowe znowu obstalunki od jakiegoś księcia; mówiono, że wybuduje kamienicę wielką i to w niedługim czasie, bo mu już pomieścić się trudno. Różni panowie raz po raz zajeżdżali do niego. Odwiedzał go i jakiś bogaty kupiec, mający wielki skład mebli i różne obstalunki poczynił — dość, że pomyślność poczciwéj uśmiechała się pracy.


Wierzbowski i Zosia w ogrodzie księdza proboszcza.—(str. 43, szp. 1).

Odtąd i matka Zosi poczęła na pana Kajetana innemi patrzeć oczami. Złagodniała i nic już o *heblach* i *wiórach stolarskich* córce nie przycinała.

Dnia jednego zajechał powóz hrabiego przed kamienicę popielatą: wysiadł z niéj hrabia, ksiądz proboszcz i młody Wierzbowski.

Pani Jabłonowiczowa aż uderzyła się w łokieć, kładąc nagle świeży czepek na głowę i zadziewając mantylkę. Przyjęła gości z wielkiemi dygami i prosiła ich siedzieć na kanapę. Zajęli wszelako krzesła—a hrabia odrazu do interesu przystąpił i występując jako swat, poprosił ją o rękę panny Zofji dla pana Kajetana Wierzbowskiego.

Poczerwieniała— dygnęła znowu — i odrzekła z zająkaniem: że nic nie ma przeciwko temu, jeżeli zgadza się córka. Nadeszła więc Zosia, pobladła trochę. Matka powtórzyła jéj słowa szanownego swata—dziewczę zapłonęło gdyby róża, uścisnęło matkę, pokłoniło się hrabiemu i rękę ulubionemu podało. A ksiądz proboszcz pobłogosławił.

Posłano po panią Wierzbowską i po pannę Krystynę. Obiedwie niebawem nadeszły.

Młoda para zamieniła pierścionki.

Pani Jabłonowiczowa zastawiła stół winem, ciastami i owocem. Pan hrabia wzniósł zdrowie narzeczonych. Matka Kajetana rozpłakała się i wszyscy wyrzekli.

„Szczęść im Boże!”

ALCHEMJA.

W liczbie zadań jakie sobie umysł ludzki do rozwiązania postawił, znajduje się dość znaczny szereg takich, które po długich wiekach daremnych poszukiwań i mozołów, dziś już słusznie czy niesłusznie za ostatecznie nierozwiązalne uznane zostały. Mimo to jednak, że zbiorowy rozum ludzkości reprezentowany przez najpoważniejsze ciała uczone, dał za wygranę tym zagadkom i wypowiedzenie ich słowa do dziedziny marzeń i niedorzeczności zaliczył, pojedyńcze jednostki bardzo często jeszcze długie lata pracy poświęcają na bezskuteczne dążenie do obdarzenia świata jednem z odkryć tego rodzaju jak: perpetuum mobile, kwadratura koła, wyrachowanie następstwa numerów losem ciągniętych, dzielenie kątów na nieparzystą liczbę części i t. p. Niekiedy nawet jakaś epidemja umysłowa ogarnia całe społeczeństwo i pomimo wzruszenia ramionami i sardonicznego uśmiechu mędrców, massy rzucają się do badań nad tem, co za wyraźne niepodobieństwo oddawna uznanem zostało. Przykład podobnego massowego pociągu do rzeczy nadzwyczajnych, widzieliśmy przed kilkunastą laty, kiedy tak tłumnie zabrano się do zaprowadzenia kommunikacji z światem duchowym za pomocą wirujących stolików i piszących wyrocznie ekierek...

Czy to wszystko co za niepodobieństwo uznanem zostało, jest rzeczywiście niepodobnem? twierdzić nie śmiemy, dla tego właśnie, że szereg tych mniemanych niepodobieństw zmniejsza się z postępem czasu. Istnienie niezmiernie wielu rzeczy, na które dziś codzień patrzymy, uznanem by było dawniéj za proste niepodobieństwo. Historja żeglugi napowietrznéj, tak podobna do dziejów wszystkich dotąd nierozwiązanych zagadek, jest tego najlepszym przykładem. Dziś jeszcze czyż uczeni są w zgodzie, co z przedstawiających się rozumowi zagadnień, rzeczywiście i ostatecznie za nierozwiązalne uważać należy? Jedni liczą do marzeń możność kierowania się dowolnego w powietrzu za pomocą aerostatu lub jakiegobądź innego przyrządu, inni mają to za kwestję czasu jedynie; jedni uważają za niedorzeczność myśl przepowiadania pogody na kilka lub kilkanaście dni wprzód, inni wierzą najmocniéj, że ta kwestja z czasem naukowo rozwiązaną zostanie. Toż samo powiedzieć można o sztucznem zapładnianiu, otrzymywaniu płci dowolnéj i wielu innych zagadnień, co do których rozwiązalności lub nierozwiązalności opinje są podzielone, tak dalece, że oprócz kilku na początku wspomnianych zadań, ledwie czy się znajdzie kilka jeszcze takich, na których nie-

rozwiązalność prawie jednomyślnieby się zgadzano.

Nie mamy zamiaru rozbierać tutaj kwestji rozwiązalności zagadnień, których dziesiątki ułamków rozwiązać nie mogły. Zwrócimy tylko uwagę na uderzający fakt, że w naszym wieku, kiedy z wszelką łatwością spotkać można jednostki, poświęcające się szukaniu perpetuum mobile, albo kwadratury koła, kiedy zatem zadania najnieubłaganiéj potępione, znajdują jeszcze licznych zwolenników i badaczy, niepodobna już natrafić na ludzi dotkniętych naukowym obłędem, czy uporem, którzyby jeszcze zajmowali się alchemją. Z końcem zeszłego wieku, sztuka robienia złota umarła, poszukiwanie kamienia filozoficznego i panaceum ustało, tak jakby niemożność osiągnięcia tych zadań, oczywiściéj udowodnioną została, jak niemożebność zamienienia koła na kwadrat mu równy.

Jest to fakt dziwny w istocie. Historja alchemji z wszelkiem prawdopodobieństwem i wiarogodnością dowodów, wskazuje nam adeptów, którzy *robili złoto*. My z większością rozsądnych ludzi; możemy wprawdzie przypuszczać iż te fakta, mimo wszystkiego co na ich poparcie istnieje, były tylko złudzeniem i że tajemnica, gdyby rzeczywiście odkrytą została, niebyłaby zaginęła. Nie można jednak zaprzeczyć, iż są ludzie, którzy w te fakta wierzą, a to samo już jest dostatecznym powodem zadziwienia, że w naszym wieku, kiedy *auri sacra fames*, bynajmniéj się nie zmniejszyła, już się nikt nie kusi o zostanie adeptem sztuki hermentycznéj, gdy tymczasem są tacy, co się silą na wykreślenie kwadratu równego kołu, chociaż historja niepowiada, żeby gdziekolwiek jakibądź uczony już taki kwadrat w przyszłości wykreślił.

Że inne nauki tego rodzaju jak alchemja upadły bezpowrotnie, dziwić się temu nie można, bo podstawa, na której zbudowanemi były, już racjonalnie zburzoną została. Astrologja, czyli przepowiadanie przyszłości z położenia wzajemnego gwiazd, ostać się nie mogła, po poznaniu gruntownem mechanizmu światów. Czarnoksięztwo stało się niemożebnem lub przerodziło w służące do zabawki tylko kuglarstwo, od chwili rozpowszechnienia wiadomości z nauk przyrodniczych. Z alchemją przecież rzecz się ma przeciwnie. Możność rozłożenia metali na pierwiastki, jakolwiek zaprzeczana prawie jednomyślnie przez chemików, jest jednak przypuszczeniem tak dobrem jak przypuszczenie, że metale są ciałami niezłożonemi. Nie ma bowiem innego dowodu, że metale są ciałami niezłożonemi, prócz tego, że ich dotąd rozłożyć nie potrafiono.

Nie mając bynajmniéj zamiaru zachęcać nikogo do zajęcia się na nowo alchemją, stawiamy sobie za cel tego artykułu odpowiedź na pytanie: *dla czego dziś nikt o robieniu złota nie myśli?* i ażeby tę kwestję według przekonania naszego rozwiązać, zaczniemy od kilku słów, o właściwym celu alchemji i przytoczymy kilka faktów z ciemnych dziejów téj nauki.

Według objawień ludzi, których powszechnie za *adeptów* to jest posiadających tajemnicę alchemji uważano, zadaniem téj sztuki zwanéj *egipską*, *hermetyczną*, *boską*, *świętą*, *spagiryczną*, była zamiana ciał nieposiadających w sobie złota ani srebra, na złoto lub srebro w całéj ich masie, za pomocą tak zwanego *kamienia filozoficznego*, *eliksyru*, zwanego inaczéj *tynkturą* alba *magisterium*. Czerwona tynktura, inaczej wielkie magisterium, wielki eliksyr, albo kamień filozoficzny pierwszego rzędu, zamieniać miała na złoto, zamiana zaś na srebro odbywała się za pomocą białéj tynktury, zwanéj także małym eliksyrem, małem magisterium, lub kamieniem filozoficznym drugiego rzędu. Obu tym tynkturom przypisywano siłę tak potężną, że objętość kruszcu, kilka a nawet kilkadziesiąt tysięcy razy większe od własnéj, zamieniać mogły na najdoskonalsze złoto lub srebro, po prostem wrzucaniu ich na roztopiony metal i wspólnem przetopieniu. Twierdzono także, że jedna i taż sama tynktura rozmaite metale zamieniać czyli *uszlachetniać* jest zdolną.

Oprócz tych własności alchemicznych, tynktura uszlachetniająca, miała mieć jeszcze własności lekarskie i służyła za *panaceum* czyli lekarstwo na wszystkie choroby, lekarstwo odmładzające, przywracające siły żywotne i mogące przedłużyć życie ludzkie do kilku wieków.

(*Dokończenie nastąpi*).

O DŁUGOWIECZNOŚCI.

Od dawna zajmowali się uczeni zbadaniem ważnéj kwestji długości życia ludzkiego. Prawdopodobnie jednak kresem życia naszego jest wiek pomiędzy 90 i 100 laty. Bywają wszakże przykłady, że człowiek stu kilkudziesięciu lat dożyć jest w stanie; należy to atoli do wyjątków. O tych to wyjątkach, jako istotnie uderzających swą nadzwyczajnością, zamierzamy pomówić z naszymi czytelnikami.

Sławnym był z długowieczności w całéj Anglji Tomasz Parre, dawny żołnierz, który zmarł w 1635 roku mając 152 lata wieku. Tak długie życie zawdzięczał wielkiéj swéj wstrzemięźliwości i pracowitości, co mu po śmierci niesłychany zaszczyt zjednało, bo został pochowany w Westminsterze, gdzie tylko wielkich ludzi ciała spoczywają.

Dłużéj jednak od niego żył Anglik Henryk Jerkins, zmarły 1670 r. mając 169 lat wieku. Jerkins z powołania rybak, mając 100 lat przebywał rzeki w pław, a powołany raz na świadka w sprawie która miała miejsce przed 140 laty, przybył ze swymi dwoma synami, z których jeden miał 102, a drugi 100 lat.

Czasopisma angielskie donosiły o pewnéj murzynce, która zmarła w 175 roku życia. Piotr *Czartan* Węgier, miał żyć 185 lat. Takiegoż wieku doczekał się *Saint-Mungo Keutingern* założyciel biskupstwa w Glasgowie, o czém świadczy pozostały po nim łaciński napis grobowy. Mniéj zasługuje na wiarę podanie pewnego niemieckiego lekarza o żebraku węgierskim mającym 190 lat. Przytacza on inny przykład długowiecznéj rodziny węgierskiéj, w któréj ojciec zmarł przeżywszy 172 lat, żona jego 165, a najmłodsze ich dziecko gdy poznał tę rodzinę, miało 90 lat. Powiadają, że portrety téj długowiecznéj pary dotąd jeszcze istnieją w zamku Wiedeńskim.

Doktor Gdeler zaręcza, że w r. 1804 pod Płockiem, żył stary inwalid rossyjski mający 184 lat, a rodzina jego składała się z 138 potomków, pomiędzy którymi znajdowało się dwóch przeszło stuletnich wnuków. Kiedy ten nowożytny patryarcha umarł, nie wiadomo.

Lecz najmniéj wiarogodnem jest podanie niemieckich i angielskich gazet o *Tomaszu Carn*, urodzonym w r. 1588 a zmarłym 1795, coby znaczyło że żył 207 lat! Jakkol-

wiek ta niesłychana długowieczność u wielu światłych ludzi znalazła wiarę, my wszakże najzupełniéj o niéj wątpimy.

Ale w podróżach, mianowicie dawniejszych, mnóstwo takich Matuzalów napotykamy. Jeden z nich np. wspomina o Maurach, którzy w dwusetnym i dwusetnym dziesiątym roku cieszyli się zdrowiem, czerstwością i doskonałemi siłami. Nie waha się nawet przytaczać, że znał żyjące mumje mające po 300 lat. Lecz jeżeli nazwiemy jego podania fałszywemi, to jakiemż mianem napiętnujemy Anglika Sinclaira, który zaręcza, że pewien Brahim w Indjach Wschodnich żył *siedmset lat!!!* To żart trochę za gruby!

Sławny Humboldt wspomina o Peruwjańczyku, który żył 143 lat, inny wymienia niewolnika 120 lat.

W r. 1733 król Krystyn X norwegski, wyprawił tak zwane djamentowe wesele czterech małżeństw wieśniaczych, a pomiędzy tymi 8 ludźmi, nie było żadnego mniéj jak sto lat mającego. Remus opowiada o pewnym biskupie, który żyć miał 210 lat! Wiarogodniejsze jest podanie tegoż o *Adryanie Rother* który żył 120 lat, tudzież o pewnym pastorze, zmarłym w 150 roku życia. Również wiarogodne są podania o pewnéj wieśniaczce norwegskiéj, która żyła 137 lat, zostawiwszy męża 100 letniego; o *Janie Hertz* Szlązaku, który żył jeszcze w 1838 roku mając 142 lat.

Dr. Hufeland wspomina o Polaku *Tabaczyńskim*, który umarł w 1826 roku mając 115 lat wieku. Człowiek ten przez całe życie cieszył się najlepszem zdrowiem i aż do śmierci nie wypuścił z rąk roboty. Virey mówi o pannie *Rozynie Iwiwarowskiéj*, Polce w Paryżu mieszkającéj która przeżyła 113 lat wieku. *Nawrocki*, obywatel Warszawy, witał Napoleona I mając 117 lat. Dr. Teodor Tripplin, znał starca *Kondratowicza* rodem z gubernji Mińskiéj, który umarł w 112 roku życia. Starosta *Zakrzewski* umarł pod Bochnią 1827 r. mając 105 lat wieku. *Bogorja Skotnicki* arcybiskup gnieźnieński za Jana Kazimierza, żył lat 103. *Chajęcki* obywatel ziemski, dostąpił 111 lat życia, umarł w r. 1848. W takimż wieku zmarła Talkiewiczowa w Gródku pod Lwowem 1838 r. *Stanisław Dobrzelewski*, podstoli sieradzki, w 120 roku życia pieszo do kościoła chodził. Matka 90-cio letniego *Mieleczki* szlachcica Pińskiego, miała 130 lat, a babka 140. *Świnecka* w Bracławskiem żyła 120 lat. *Wołowska* 128 lat mając, codzień o świcie na mszę o pół mili do Krakowa chodziła.

Pewien rolnik pod Krosną mając 115 lat, pracował za czterech parobków. Krawiec *Pruchalski*, w 102 życia szył jeszcze w najlepsze. Kucharka urodzona 1742 r. w Kozielcu, mając lat 106 tak dobrze gotowała, że jéj potrawy dawano i na senatorskie stoły. Organista w Sierakowicach 107 lat mający, tak doskonale grał na organach, że zdaleka zbierano się aby go usłyszeć. Młynarz w Bynkowicach 112-letni, jedną ręką wstrzymywał w biegu koło młyńskie. *Hanerowicz* szewc umarł w 115 roku, gdy prawnuczka jego urodziła syna. Rodzina *Chożyckich* w Lichnowicach odznaczała się wielką długowiecznością, tak że przez kilka wieków każdy z jéj członków żył więcéj jak 100 lat.

Znany w literaturze naszéj Wójcicki Kaź. Wł. znał *Stanisława Gila*, wieśniaka z okolic Świętokrzyzkich gór, który urodził się 1696 r. a umarł 1822, mając lat 126. Na dwie godziny przed śmiercią jeszcze pracował! Rodzona babka tegoż p. Wójcickiego miała 103 lata i 6 miesięcy gdy umarła.

Marjanna Garstka i Antoni Gozdowski obywatel Warszawy, zmarli mając po 115 lat. Pasterz bydła *Mateusz Kieleński* w gminie Jeżów, w powiecie Rawskim zmarł w 120 roku życia. Dłuższem daléj od nich życiem cieszył się *Fryderyk Jabkowski*, były żołnierz, który umarł 1825 roku mając lat 140. *Majewski Symforyn* szewc ze Starego-Miasta Warszawy, umarł w r. 1828 mając lat 125 i pochowany na Powązkach, gdzie każdy może wyczytać na kamieniu groboywm datę jego urodzenia i zejścia. *Librowski* szlachcic, właściciel Wielopola tuż pod Krakowem, żył 126 lat, umarł 1830 r.

W r. 1724 umarł 127-letni starzec, który po czterech żonach pozostawił 125 potomstwa t. j. dzieci i wnuków.

W roku 1856 żył w powiecie Ostrołęckim przy parafji Gaworowo dzwonnik, mający 113 lat; nie wiemy czy żyje jeszcze. *Piotr Sosnowski* znakomity malarz, umarł 1853 r. licząc 122 lat.

Jakkolwiek Naruszewicz w swojéj Historji wspomina o świadkach, wzywanych do rozmaitych spraw mających po 150 lat, zdaje się jednak że palma długowieczności należy się u nas niejakiej Tarnowskiéj, która umarła z przestrachu podczas oblężenia Torunia przez Szwedów, mając 156 lat.

Piękny ten wiek zaiste wartby był zazdrości, gdyby nie ta smutna okoliczność, że ze zgrzybiałym wiekiem tępieją nasze władze umysłowe, siły nikną, energja gaśnie i człowiek zupełnie staje się zdziecinniałym. Jakże mądrze więc Stwórca ułożył, dopóty tylko pozwalając nam korzystać z darów swoich, dopóki sił i woli nam nie brakuje! Gdy te zginą, życie staje się bez wdzięku, a śmierć prawdziwym darem Niebios.

Mścisław Kamiński.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Panu Karolowi z Senatorskiej ulicy.* Słusznie pan zarzucasz naszemu pismu, że dotąd bardzo mało starało się wpłynąć na wykorzenienie przesądów i zabobonów, które o ile z jednéj strony mogą być szkodliwe, o tyle z drugiéj są prawdziwą hańbą umysłu ludzkiego. Ale wina poniekąd leży i w czytelnikach Opiekuna, którzy nie przesyłają Redakcji opisów, lub tylko po prostu notatek, o gusłach lub zabobonach, których albo byli świadkami, albo z pewnych ust słyszeli. Co jeżeli nastąpi, przyczem wszystkich czytelników o tego rodzaju notatki upraszamy, Redakcja nie zaniedba je odpowiednio obrobić i na użytek publiczny oddać.

Nie idzie tu o formę artystyczną owych notatek, ale tylko o nagie i prawdziwe fakta, z wymienieniem miejsca (to jest gubernji) i czasu, w którym się działo.

Panu R. K. w Warszawie. Niesłusznie pan przypisujesz błędy pojedyńczych ludzi wpływom cywilizacji. Prawdziwa cywilizacja walczy owszem ze złem, a jeżeli pomimo téj walki są jeszcze źli ludzie, nie cywilizacją to, ale nas samych obwiniać należy, żeśmy nie dość dojrzeli do godnego jéj przyjęcia. Stara to jak świat piosenka, że dawniéj lepiéj było; śpiewają ją ci wszyscy, których wzrok nie sięga poza koniec własnego nosa. Nie świat się pogorszył, ale każdy z nas na starość żałuje młodych lat, ubolewa nad zawiedzionemi nadziejami, a czując że każda chwila zbliża go ku kresowi życia, chciałby jak Jozue zatrzymać słońce i od szczegółów przenosząc wzrok do ogółu, powiada: dawniéj lepiéj było! Tylko tym sposobem można usprawiedliwić powyższe narzekanie.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.
III.

Powszechne Ziemioznastwo, *czyli opisanie budowy i składu ziemi, jej stosunku do wszechświata, tudzież najważniejszych i najciekawszych na niéj zjawisk, przez Dra Fr. Hoffmana, przełożył z niemieckiego P. E. Leśniewski. Warszawa 1853.*

Ponieważ postanowiliśmy obznajmiać naszych czytelników z dziełami istotnie pożytecznemi, a że nowych nie wiele w tych czasach wychodzi, przeto przedmiotem dzisiejszéj naszéj oceny, będzie wypisane w tytule dzieło, jakkolwiek przed trzynastu jeszcze laty wydane. *Ziemioznawstwo* istot-

nie należy do dzieł pożytecznych i dobrze napisanych. I niech was mili czytelnicy, nie odstręcza trochę może za suchy tytuł tego dzieła. Jest ono bowiem w całem słowa tego znaczeniu, popularnem i przystępnem dla każdego, kto pragnie zbadać ziemię, na któréj mieszkamy i zjawiska jakie na niéj mają miejsce.

Ziemia! Kogóż nie obchodzi ta matka nasza? kto może być dla niéj obojętnym? kto jéj zbadać nie pragnie? a przynajmniéj poznać ważniejsze jéj zjawiska? A ileż tych zjawisk co dzień, co chwila, w każdem miejscu przechodzi koło nas niepostrzeżenie, nie zwróciwszy uwagi naszéj; jakbyśmy li tylko z nazwy myślącymi byli istotami?

Czy deszcz lunie, czy grom zachuczy, czy mróz zziębi członki nasze, czy gorąco letnie je osłabi, czy ujrzymy meteor jasny na Niebie, burzę na morzu, ognik błędny na ziemi, czy inne jakie zjawisko, czujemy je wprawdzie, widzimy lub słyszymy, ale jakże mało jest pomiędzy nami takich, co zadadzą sobie pytanie: a zkąd to? a jak to? a dla czego to?

Ludzie tacy śpią na jawie i za życia już pomarli.

Lecz komu nauka nie jest obcą, kto czynem pragnie dowieść światu że jest człowiekiem, ten nie przestanie dla umysłu swego zdrowéj szukać karmy, nie przestanie dla siebie, braci swoich i dzieci, szukać światła i prawdy.

Jedną z takich książek, która powinna znajdować się w najskromniejszéj nawet biblioteczce, jest wyżéj przytoczone *Ziemioznawstwo*. Jakkolwiek napisane przez Niemca, dzieło to ani odstręcza zbytnią erudycją, ani razi długością okresów lub wadliwością stylu. Wiele drzeworytów i cztery prześliczne chromolitografje: wyobrażające Zorzę północną, burzę zwrótnikową, fata-morganę i chmury czerwone—zdobi i objaśnia to dzieło.



Poprosił o rękę panny Zofji dla Kajetana Wierzbowskiego. (str. 45 sz. 1).

Autor zastanawia się najprzód nad stosunkiem ziemi do wszechświata, opisuje atmosferę i zjawiska, które mają miejsce w niéj i ponad nią, a więc: wiatry, burze, obłoki, chmury, deszcze, śniegi i t. d. Daléj zjawiska świetlne, jak: tęcza, koła księżycowe i słoneczne, Zorzę północnę i zjawiska elektryczno-magnetyczne. Poczem wprowadza czytelnika we wnętrze ziemi, opisuje jéj warstwy i pokłady, tłumaczy teorję wulkanów, źródeł ciepłych, wylicza zwierzęta przedpotopowe i t. d. Wreszcie opisuje lądy, więc góry, jaskinie, lodowiny, jeziora, ocean, fale, prędy, temperaturę, klimat i t. d.

Widzicie więc mili czytelnicy, że jest czem zaspokoić ciekawość, jest czego się nauczyć w téj książce, kosztującéj przed laty 3 ruble, lecz dziś daleko tańszéj zapewnie.

M. K.

ROZMAITOŚCI.

— *Nowy sposób wyginania miedzianych rurek.* Wyginanie metalowych rurek, dotychczas było rzeczą niezbyt łatwą: zwykle do rurek wlewano ołów lub żywicę i potem je wyginano. W tych czasach w Anglji wynaleziono nowy bardzo łatwy sposób wyginania rurek: rurka napełnia się suchym drobnym piaskiem, oba jéj końce zatykają się korkami i następnie rurka wygina się, a tym sposobem otrzymujemy zagięcia kształtne, reguralne i rurka wcale niepęka. Przedsiebrane w tym względzie próby, zupełnie przekonały o praktyczności tego nowego sposobu.

— *Przykład silnéj woli.* W jednym z angielskich dzienników czytamy wiadomość o nastąpionéj w tych czasach w Birmingham śmierci pewnéj doletniéj panny, nazwiskiem Miss Bügower 81 lat liczącéj. Panna ta gdy miała lat 20, została opuszczoną przez swego narzeczonego, od téj więc pory postanowiła niewynówić ani słowa i dotrzymała swe przyrzeczenie do samego końca swego życia, czyli milczała przez lat 61. Przyznać należy, że fakt ten rzeczywiście stanowi jeden z największych dowodów wytrwałéj powściągliwości, jaki kiedykolwiekbądź kobieta okazać zdołała.

— *Wpływ odzienia na śmiertelność ludzi.* Statystyczne wywody, o ile odzienie muszlinowe lub z lekkich gazowych materij wpływa na śmiertelność ludzi, wzkazały następujące rezultaty: Ilość wypadków śmierci wynikłéj w skutek oparzenia, jednakową jest pomiędzy chłopczykami i dziewczynkami, do piątego roku ich życia; lecz w wieku od pięciu do dziesięciu lat, śmiertelność u dziewczynek jest dwa razy większa niż u chłopców. W wieku od 10 do 20 roku, na sto wypadków śmierci wynikłéj z powyższego powodu, przytrafiło się tylko 23 wypadków u chłopców, gdy tymczasem 77 wypadków było pomiędzy dziewczętami, pomimo to, że płeć żeńska nierównie jest ostróżniejszą i bojaźliwszą od mężczyzn.

Powyższe cyfry dowodnie przekonywają, że rodzaj odzienia, a mianowicie z jakiéj tkaniny takowe się składa, czy łatwiéj lub trudniéj płomieniem zajmującéj się, niemałą w tym względzie rolę odgrywa.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*Na wychodnem z domu.*)

Kanty. Dzień dobry panie Kalasanty... jak to? wychodzisz tak rano... jakie szczęście żem się nie spóźnił... byłbym cię już niezastał.

Kalasanty. Więc widzę masz do mnie pilny interes, panie Kanty.

Kanty. W istocie... a ponieważ ci się spieszy, więc powiem krótko i węzłowato... niemógłbyś mi pożyczyć 15-tu rubli... Mam gwałtowny wydatek, a mam tylko rubla przy duszy...

Kalasanty. Masz rubla... a! to wybornie!... czekaj-że, poradzę ci w kłopocie... Ot pożycz mi tymczasem tego rubla, a ja ci się niedługo o całe 16-cie wystaram.

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj—Redaktor: Adam Mieczyński.